



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.
Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 8 Czerwca
(20 Czerwca) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Od redakcyi. — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Polyhymnia. — Piękno i życie. — Zawierucha, przez Marc-Mounier'a, przekład z francuzkiego M. G. (dalszy ciąg). — Z tygodnia. — Piśmiennictwo. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aïde, przekład K. P. (arkusz 11).

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiński, redaktor i wydawca „Tygodnika mod i powieści” w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Nie zmienił się w niczem. Był taki sam, śliczny, poważny, smutniejszy tylko nieco, ale Mania widziała dobrze, że czeka tylko, aby powstać i odejść — i czuła to jedno, że potrzebuje w tej chwili całej siły woli, aby się głośno nie rozpłakać.

Pani Kamilla odgadła wprawdzie, jakie uczucia miotają sercem córki, ale nie podzielała ich tym razem.

Owszem, ta powściągliwość i powaga pana Konrada bardzo jej się podobały. Rozumiała dobrze, że nie mógł być innym w tych warunkach i podczas takiej, jak ta, obowiązkowej wizyty. Zdawało jej się, że nie darowałaby mu nawet tego nigdy, gdyby był innym.

Widząc też dobrze, że gość skorzysta z pierwszej okazji do pożegnania się, poprowadziła sama zrezygnie rozmowę, zwracając ją z konieczności naprzód na nieboszczyka i nagły zgon jego. Wspomniała przytem o przyjaźni, jaką łączyła s. p. Ignacego z jej zmarłym mężem, kładąc nacisk na ich wzajemną, długoletnią zażyłość, która wykluczała wszel-

kie nawet pozory zależności, pomimo wiążących ich stosunków.

— Niech mi pan wierzy — mówiła z całym przekonaniem, — że był to najlepszy mego męża przyjaciel, a takim i dla nas pozostał do ostatniej chwili życia.

Pan Konrad słuchał tego wszystkiego z widoczną wdzięcznością, która odmalowała się w jego spojrzeniu.

Przyszedł tu właśnie, aby tylko zapytać, ile pogrzeb kosztował — i drżał z obawy, że zapasu, jaki miał, może na zwrot tych kosztów nie starczyć. Teraz, wobec takiego postawienia kwestyi przez panią Kamillę, nie mogło być o tem żadnej wzmianki. Czuł, że pytanie to byłoby już teraz obrazą i nie mógł wyjść z podziwienia, że mu się przed chwilą zupełnie naturalnem wydawało. Przyjdzie chwila, że będzie mógł i musi nawet policzyć się kiedyś — ale dziś — dziś przenigdy!

I nie zdając sobie sprawy z tego, że przecie tych myśli pani Kamilla odgadnąć nie mogła, przechylił się z krzesła i wyciągnął ku niej rękę, jakby istotnie miał już za co ją przeproszać.

Tyle zaś było w tym jego mimowolnym ruchu szczerości, że pani Kamilla, przechylając się również ze swego fotelu, pochwyciła wyciągniętą dłoń i uściśliła ją serdecznie.

— Dlatego to — dodała, nawiązując myśl do poprzednich swoich wywodów, — i pan nie wydaje się nam obcym. Kochaliśmy nieboszczyka oddawna i serdecznie, więc i pana dobrze znamy!

Pan Konrad podziękował skinieniem głowy, czując, że słowa nie mogłyby mu być przejść w tej chwili przez gardło.

Wśród uroczystej ciszy, zabrzmiał wówczas dźwięczny głosik Mani:

— Ach, i ja kochałam go bardzo!

Zarumieniła się przytem, jakby zawstydzona, że ten wykrzyknik wyrwał się gwałtem z jej piersi. Zakryła też zaraz oczy chusteczką.

Pan Konrad teraz dopiero przyjrzał jej się uważnie.

— Prawdę mówił Marczewski — pomyślał, — to istotnie śliczna dziewczyna!

Początek był zrobiony. Chłód i sztywność przypadły prawie bez śladu.

Pani Kamilli udało się wkońcu uczynić pogawędkę ogólniejszą i wciągnąć w nią zarówno Manię, jak i pana Konrada. Temat rozmowy był wprawdzie bardzo ograniczonym i musiał wracać ciągle ku świeżym wypadkom, gość jednak słuchał wszystkiego z widocznym zajęciem. Widział teraz sam, że znano tu zmarłego dobrze, lepiej może nawet niż on, i kochano go szczerze.

Pani Trzcńska bowiem nie tała nawet pewnych dziwactw nieboszczyka, chociaż te, jej zdaniem, płynęły tylko z niezwykłej jego sumiennosci i poczucia obowiązku. Był to niewątpliwie człowiek innej epoki; jakich już dziś nie codziennie się spotyka. Prawda, że stronił wogóle od ludzi, więc i im czasami po całych tygodniach nie pokazywał się na oczy. Ale właśnie tego lata, jakby przeczuwał, że już niedługo rozstana się na zawsze, począł coraz więcej ku nim się garnąć. Zjawiał się częściej w ich willi podmiejskiej, spędzając tam całe popołudnia, a dwa czy trzy razy został nawet na noc, w pokoiku na piętrze, obok Zdzisia, z którym się bardzo zaprzyjaźnił w ostatnich czasach. Zdawałoby się nawet mogło, że uczuwał brak jego, Konrada, mimo że każde w tym względzie pytanie zbywał zazwyczaj milczeniem.

— Zresztą o tych niewinnych dziwactwach stryja pan pewnie wie najlepiej — dodała, kończąc tę swoją opowieść.

— Istotnie — podchwycił pan Konrad, uśmiechając się smutno. — Ale nie szkodziły mi one zgoła. Kochaliśmy się szczerze, choć nigdyśmy sobie tego nie powiedzieli...

— Dlaczego? — spytała mimowoli pani Kamilla.

Nastała chwilowa cisza. Pan Konrad milczał, jakby namyślał się nad odpowiedzią.

Mani zdawało się, że nadszedł jedyny moment, w którym może się odezwać ze swym bólem.

— A jednak — wyszeptała z cicha, — kochanie musi chyba tracić połowę wartości, gdy... gdy takie milczące...

Pan Konrad spojrział znów na młodą panienkę, która wzrokiem swym zawisała mu w tej chwili na wargach, jakby chciała zmusić go do odpowiedzi.

— Nie wiem! — rzekł pod tym przymusem. — Zdaje mi się jednak, że to można odczuć lub widzieć.

Mania, z właściwą swemu temperamentowi żywością, poruszyła się na krześle zniecierpliwiona.

— Ach! — szepnęła. — Bóg tylko zna wszystkie myśli i on jeden słów nie potrzebuje. Dlatego to można modlić się z cicha!

Pan Konrad nie zdawał się przekonany.

— I człowiekowi czasami wolno się wznosić do tej doskonałości — rzekł. — Ja przynajmniej mogę to potrafić!

Dając zaś tę odpowiedź, miał znów wzrok utkwiony w gładkie taffle posadzki. Widocznie ściagał rozpierchłe swe myśli, które zdala od tych miejsc błądziły.

Mania natomiast patrzyła wciąż w twarz jego z jakimś okrutnym wyrzutem, który zdawał się mówić ze smutkiem:

— A jednak nie widzisz!

Pani Kamilla schwyciła to spojrzenie córki i odgadła zawartą w niem myśl. Umyślnie też nie starała się wypełnić ciszy, jaka teraz salonik zaległa. Zdawało jej się, że serdeczna struna, jak na pierwsze odwiedziny, została już nawiązana. Należało wizytę zakończyć. Podniosła więc wzrok na Konrada z rodzajem niemego zapytania i on od razu ją zrozumiał. Powstał natychmiast i począł się żegnać, powtarzając raz jeszcze zapewnienia o swojej wdzięczności.

Wychodził już przejeżdżany zupełnie. Zwolna, pod wpływem serdecznych słów pani Trzcńskiej, przestał istotnie uważać się za obcego, a ta cisza, ład i dostatek, które go na wstępie raziły, wydawały mu się teraz naturalnem, niezbędnem niemal tłem dla tych dwojga kobiet, matki i córki. Co więcej, czuł że i jemu dobrze było w tej atmosferze. Przesiedział całą godzinę, która zaledwie kwadranssem mu się wydała.

Gdy więc przy pożegnaniu pani Kamilla prosiła go, aby na tej wizycie nie poprzestał i zechciał ich odwiedzać częściej, gdyż mało wychodzą, a dla niego będą zawsze w domu, przyjął to uprzejme zaproszenie ze szczerem zadowoleniem, którego nawet nie mogła ukryć zwykła w takich razach zdawkowa odpowiedź, iż będzie to jego „obowiązkiem...”

Pani Kamilla wyprowadziła go do przedpokoju i z progu raz jeszcze podała mu rękę.

Wróciwszy do salonu, nie zastała tam już Mani, która ukryła się w swoim pokoiku. Chciała w pierwszej chwili iść tam za nią, aby podzielić się wrażeniami z tej wizyty, powstrzymała się jednak od tego. Bo i co mogła jej powiedzieć? To jedno, iż pan Konrad i na niej zrobił bardzo miłe wrażenie, a czuła dobrze, że przy nastroju, w jakim widocznie znajdowała się Mania, słowa te mimowoli miałyby w sobie coś z dysonansu.

Udała więc zajęta gospodarstwem i poczęła umyślnie głośno wydawać jakieś dyspozycje służącej.

Po kwadransie doczekała się Mani, która wyszła ze swego pokoiku błada, z zaczerwienionemi od płaczu, ale starannie osuszonymi oczyma, a mimo to z jakimś błogim uśmiechem na twarzy.

Szalone jej sny i marzenia nie spełniły się. Pan Konrad nie wiedział dotąd, ile myśli jej już zabrał, i mógł nawet nigdy się o tem nie dowiedzieć. Ale przynajmniej widziała go znowu, słyszała dźwięk jego głosu, była blisko niego, zamieniła z nim nawet kilka frazesów. Ta myśl właśnie osuszyła jej łzy, których narazie, po jego odejściu, powstrzymać już nie mogła; ona też wywołała na jej różowe wargi ów uśmiech pełen rezygnacji, ale i nowych nadziei zarazem.

Podszedłszy cichaczem ku matce i kryjąc umyślnie twarz na jej szyi, zawołała z przymileniem:

— Jak ja mamusię kocham!

Pani Kamilla nachyliła twarz córki ku sobie i wpatrując się z uczuciem w jej oczki, w których jeszcze resztki łez się kręciły, szepnęła:

— Ale jaka ja dla ciebie słaba! Jak ja cię psuję!

— Bo mamusia kocha mnie prawdziwie! Bo mamusia pragnie mego szczęścia! Bo mamusia dobra, złota, jedyna, najdroższa, najukochańsza! — wołała dziewczę, zasypując ręce i usta matki gradem pocałunków.

Usiadły obie na małej kozetce pod oknem, złączone w serdecznym uścisku. Troska jednak jakaś

nie schodziła z oblicza pani Kamilli. Ale gdy otworzyła usta, chcąc się z jakąś przestrożą czy radą odezwać, Mania pokryła jej słowa nową ulewą wykrzykników:

— O! nie, nie! Niech mamusia nie teraz do mnie nie mówi, nie zgola! Ja sama będę mówiła za dwoje! Ja mamusi wypowiadam się kiedyś ze wszystkiego, myśl po myśli — i nie nie zataję — ale nie teraz! On sam powiedział, że można się rozumieć, nie używając słów, słyszała mamusia? Wydaje mi się to okrutnem, niesprawiedliwem, a jednak widzę, że tak może być z nami, mamusiul! Ani słówka, proszę! Widzi mamusia, mnie tak dobrze z tą moją tajemnicą, która zresztą tajemnicą dla mamy nie jest, tak dobrze! Tylko mówić o tem nie mogę, nie chcę! Mamusia mnie kocha, więc mamusia powinna pragnąć mego szczęścia, a to moje szczęście! Mama musi mi pozwolić nawet umrzeć, gdybym w śmierci szczęście swoje widziała! O! jakam ja była wczoraj smutna! Ale to nic, to nic! Teraz już znów mi dobrze... przy tobie, mamusiul!

Pani Kamilla nie słyszała już nawet ostatnich słów córki, sam bowiem zapal, z jakim to wszystko było mówione, zbyt wiele już dał jej do myślenia.

Mania odkrywała teraz przed nią nowe strony swej duszy. Nie było to już nieświadome swych uczuć dziewczę, a owe rojenia, które pani Kamilla parę dni temu przypadkiem odkryła, nie przywiązując do nich większej wagi, przybierały teraz dopiero w jej oczach określone kształty, rosnąc i potężniejąc z każdym nowym wyrazem rozmarzonego dziewczęcia.

— Boże, Boże! — pomyślała. — Byłaby to już miłość, miłość prawdziwa?

I trwoga jakaś ścisnęła jej serce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



VIII.

Muzykalność nasza robi postępy i to odrazu w różnych kierunkach.

Pomyślcie tylko, że umieliśmy się poznać na... Judic, na owej mistrzyni odtwarzającej tak dziejowe postacie, jak *Niniche*, *Lili*, *Petite baronne*, *Nitouche* i t. p.

Nie śmiecie się ze mnie!

Wymienione osoby staną się, jeżeli już się nie stały, dziejowemi we Francji, tego bowiem rodzaju wytwory rozbijałej czy wyuzdanej fantazy autorów dzielnie dopomogły Prusakom do zwycięstw przedtem nieprawdopodobnych.

Może mnie który z panów od krytyki teatralnej za profana weźmie — mniejsza o to! Niech mówią co chcą, ale poświęcać osobne artykuły takim wodewilom, jak te wszystkie *szluczyńska*, pisane dla zręcznej aktorki, a osobliwie dlatego, aby mogła śpiewać drastyczne kuplety, poddawać taką nędzną tandetę analizie, a nad grą aktorki robić pełne zachwyty studia; potrzeba na to: 1) nie mieć nic lepszego do roboty, 2) nie znać

się na istotnej sztuce, czy też nie zdawać sobie sprawy, na czym prawdziwa sztuka polega.

Bo i proszę mi powiedzieć, jak można brać naseryo produkcje sceniczne, w których nieprawdopodobieństwo idzie w parze z głupotą niedorzeczną, w których szesnastoletnią pensyonarkę udaje półwiekowa babcia!

Jednakże piszemy o tem długie wywody, bo wogóle najłatwiej się u nas i najwięcej pisze o teatrze (głównie o dramacie i komedii), a potem o literaturze. Dość przecie wziąć książkę do ręki i przeczytać ją, potem streścić (tak, jak i widzianą komedię), okraszyć następnie kilku frazesami i... recenzja gotowa!

Zresztą od najdawniejszych czasów zajmowano się u nas ze szczególną pieczołowitością poezją i literaturą, inne sztuki piękne w zapomnieniu, jeżeli nie w poniewierce, niemal trzymając.

Niedawno skarżył się przedemną pewien pilny badacz zabytków dawnej muzyki polskiej na ubóstwo i brak czasem zupełny szczegółów o znakomitych przed wiekami kompozytorach naszych.

— Czem się to działo — mówił z żalem, — że zachowały się z owych czasów partactwa byle wierszoklety, a o Zielińskim, którego geniusz z Palestriną mógł iść w zawody, nigdzie wiadomości doszukać się nie można, ani szczegółów życia, ani też więcej dzieł nad kilka, z wielkim odnalezionych trudem.

— Temu ja się zupełnie nie dziwię — odparłem, — bo i w dzisiejszych czasach zupełnie toż samo się dzieje. Zwróć pan tylko uwagę, że o każdej jednoktówce pisze się u nas tak długie jak ona sama artykuły. Niech się pojawi tylko jakiś efemeryczny nowelista (lub nowelistka), o mikroskopijnym talenciku, a wnet pisma nasze na wsze strony rozszerzają się nad jego „działalnością,” podczas tego wychodzi (w znakomicie większej części nie w kraju) z druku spora wiązka utworów muzycznych różnych naszych autorów, a o ukazaniu się ich nawet wzmianki się nie daje.

— Jest to uzurpacja literatury, — odpowiada mi mój badacz; — dzięki to jej, dbaliśmy o byle szmat zabazgranego zwykłym piśmem papieru, a dozwoliliśmy zagać *wszystkim* świeckim kompozytom wielkiego Gomółki.*) Pozostało po nich tylko kilkuwierszowe wspomnienie w zapiskach ówczesnych, głoszące że, mć pan Gomółka wdzięczne rzeczy układał do śpiewu i tańca, dla rozkoszy słuchających. Otóż wszystko! Nut jak niema tak niema, ignorant jakiś, widząc zapisane znakami dla siebie niezrozumiałymi szpargały, albo w ogień je rzucił, albo kupcowi do zawijania pierników toruńskich na wagę sprzedał.

— Nie zapominaj pan — mówię mu na to, — że zajmowanie się poezją uważano za rzecz „szlachetniejszą,” a muzykę miano za coś „posłaniejszego,” więc i uprawianie jej nie leżało w zakresie wychowania młodzieży ówczesnej. Nie mogły się wtedy rozwijać ani słuch, ani znanstwo. Wszakże my nawet własnych pieśni ludowych nie znamy i bynajmniej nie mam tu na myśli przeciętnego ogółu, ale tych, których to jest obowiązkiem,

jeżeli wdzierają się na stanowiska krytyków. Wszakże dla jednego z tych panów niejasnym i zagmatwanym był prosty polonez i nie wiedząc o tem (ponieważ w programie tego nie umieszczono), że utwór w mowie będący złożony jest *wyłącznie* z ludowych melodyj, nazywa go małym oryginalnym, dziwiąc się wreszcie, jak można było włożyć tam *jedną* znaną (nareszcie!) piosenkę ludową, zupełnie do poloneza niestosowną! Biedak — nie zna widocznie nawet pierwszego tomu dzieł Kolberga, boby na pierwszej zaraz stronicy znalazł tę melodię zapisaną, jako *polonez*. Gdyby zaś chciał zajrzeć do innych tomów tegoż Kolberga, to byłby tam odnalazł wszystkie *polonezowe* motywy, w owym utworze „nieoryginalnym” się znajdujące. Ale czego żądać od recenzenta, ukrywającego swój mizerny dyktantyzm pod wygodnymi skrzydłami pseudonimu!

Gdzieindziej znów wystrzelił kwiatek krytyczny zupełnie bezimienny, woniejący zdaleka ignoracją nieladającą. W recenzji bowiem pewnego tygonika, z racy wykonania Eliasza, powiedziano, iż dzieło to wystawiono „podobno” *kilkadziesiąt* lat temu w Warszawie, potem zaś dawano na koncertach same pot-pouri i więcej nie było nic!...

Mój Boże! po wystawieniu Eliasza, Moniuszko dał „Sonety Krymskie” i „Panią Twardowską,” Kątski wystawił „Ś-tą Elżbietę” Liszta w r. 1871, w dwa lata później Zarzycki daje 1-ą część „Paulusa” Mendelssohna wystawiwszy w tymże czasie *po raz pierwszy* Symfonie Raffa „W lesie” i „Lenore.”

W następującym szeregu lat w Towarzystwie muzycznym wykonano „Requiem” Cherubiniego, „Stabat Mater” Astorgi, a więc dzieła klasyczne, o wiele Eliasza przewyższające swym stylem prawdziwie religijnym.

Panie recenzencie! gdzie pan byłeś podówczas i czem się zajmowałeś, jeżeli o tem wszystkim nie wiesz? Dajcie lepiej pokój — o wy dyktanci i niedouki! zostawcie muzykę w spokoju, jeżeli o niej macie tyle pojęcia, co wojownik z Kongo o militarystyce europejskiej.

Wspomniawszy o „Eliaszu,” muszę coś o nim powiedzieć, choćby z racy dobrego wykonania tego *salonowego* oratorium.

Jest-to, zdaje mi się, jedynie właściwe określenie tego dzieła. Przypomina ono bowiem powagę religijności konwenansowej, wyperfumowanej i świecącej zdaleka wszelkimi pozorami pobożności prawdziwej, ale w gruncie rzeczy nieco częściej i tkliej.

Mendelssohn, kompozytor z niepospolitym talentem, zawarł swoje inwencje w ciasnych nieco horyzontach. Dbął przedewszystkiem o czystość zewnętrzną szaty, o wykwinność formalistyki (nie formy, gdyż to w estetyce kompozytorskiej olbrzymią stanowi różnicę), o brzmienie dobre czynników, do utworów swoich użytych. Nie zapominajmy, że te wszystkie zalety stanowią podwaliny salonowości, w życiu, w stosunkach społecznych, czy też w sztuce.

Człowiek salonowy stara się o kwiecistość w wyrażeniach, o dystynkcyę w ruchach, unika wrażeń i wzruszeń silnych, lub głębokich. Nie da się tedy wzruszyć i innych też wzruszać nie będzie. Idzie mu tylko o to, aby wzbudzić dobre, a raczej przyjemne wrażenie.

Takież samo jest zadanie muzyki salonowej, która zresztą, jak dystynkcyę życiową, może być w lepszym lub gorszym gatunku.

Otóż salonowość muzyki Mendelssohna jest w gatunku najlepszym, bo wsparta wybornymi studjami

i wzorowaniem się na najlepszych kompozytorach klasycznych. Starał się wstępować w ślady Haendla i Bacha, pisząc psalmy i oratoria; jest to bezwątpienia wielką zasługą na czasy owe, w których o tym stylu zupełnie prawie zapomniano.

Jednakże ciężką z natury swej potrawę przyrządził on w sposób przyjemny do spożycia, więc słodczy w melodyach, a gładkości w figuracjach nie oszczędzał. Zrobiło się przeto z tego coś niedającego się ściśle podciągnąć pod żaden ze znanych i jasno określonych działów muzyki.

Takiego na przykład „Eliasza” słucha się z początku z zajęciem, chóry prowadzone biegle i spokojnie, aryjki wdzięczne *miłe* sprawiają wrażenie. Lecz w następstwie słuchacz radby usłyszeć coś wzruszającego głębiej, żąda w scenach dramatycznych dramatu istotnego, a nie jego pozorów.

Lecz tego właśnie w całym „Eliaszu” niema i brak ten powoduje w końcu znużenie; słuchacz staje się coraz mniej podatny na odczuwanie tych łakoci melodyjnych i mimowoli zachowuje się obojętnie, a nawet czasem odpornie względem ostatnich numerów tego obszernego dzieła.

Warto jednak było słyszeć „Eliasza” choćby dlatego, że w szczęśliwych i rzadkich wykonaniach był warunkach. Połączone chóry teatralne składały się z żywiołów rutynowanych i *fachowych*, czego w amatorskim chórze u nas nie tak prędko się doczekamy. Trzeba na to lat całych przygotowania pracy, t. j. umuzykalnienia od podstaw, od wieku dzieciennego poczynawszy, bo uczenie śpiewu zbiorowego osób dorosłych, *nieznających* zasad muzyki, jest niezmiernie mozolne i wydaje średnie tylko rezultaty, podczas gdy dzieci uczą się szybko i dają się z łatwością umuzykalniać.

Zygmunt Noskowski.

PIĘKNO I ŻYCIE.

II.

Treść: Czynniki działania estetycznego. — W którym z nich tkwi piękno. — Co jest właściwie piękno. — Niemożność jego określenia na podobieństwo dobra i prawdy. — Zmienność pojęć o dobru i prawdzie. — Co jest ideał. — Co jest typ. — Rozmaitość ideałów i od czego zależy. — Objaśnienie na przykładach. — Natura dwojaka przedmiotu piękna: treść i forma, idealność i materyalność. — Klasyfikacja sztuk. — Sztuki plastyczne i idealne. — Sztuka stosowana, ornamentacyjna, ozdobnicza. — Jej pierwotność. — Ile jest sztuk?

Jest tedy przedmiot, który widokiem swoim budzi zadowolenie estetyczne, jestem *ja*, co to zadowolenie odczuwam, są zmysły moje, jako niezbędne łączniki pomiędzy przedmiotem, a mną samym. Ponieważ odczuwam zadowolenie, przeto mam prawo wnioskować, że odczuwam je pod wpływem piękna. Piękno przeto niezawodnie w tej sprawie istnieje. Ale gdzie? czy w przedmiocie, czy w uczuciu mojem, czy też w zmysłach, lub we wszystkim razem? Gdyby nie było przedmiotu, albo mnie, gdyby zmysł przenoszący wrażenie do mojej duszy przestał działać, gdybym naraz stał się głuchym lub ślepym, wywołanie i odczucie zadowolenia byłoby niemożli-

*) Zarzuty trochę dziwne i niesprawiedliwe. Literaci, jako specjaliści, pisywali o literaturze i umieli odnajdywać i zachowywać jej zabytki; muzycy nie pisywali zato o muzyce i pozwalali jej zabytkom ginać... Ale czyż o to można mieć żal do literatów?

(Przyp. red.).

wem, piękno w tym przypadku istniećby nie mogło. Gdyby moja wrażliwość była słaba, albo mój zmysł zwątlony, suma odebranego wrażenia byłaby bardzo małą; byłaby zato o wiele większą, gdyby wrażliwość estetyczna była wykształconą, a zmysł czułym i ostrym. Natomiast przy bardzo nawet rozwiniętej wrażliwości estetycznej, zbudzenie uczucia nie doszłoby do skutku, gdyby przedmiot nie posiadał w sobie zawartego piękna. A tak pokazuje się, że piękno samo nie istnieje bez przedmiotu ani bez podmiotu (to jest *bezemnie*, czyli osoby odbierającej wrażenie) i bez zmysłów, bez pośrednictwa których uczucia estetyczne odzywać się nie mogą.

Gdyby zażądano odemnie wyjaśnienia stanowczego, co jest właściwie piękno, nie zdołałbym odpowiedzieć inaczej, jak tylko, że (*jest ono istotą procesu estetycznego, w którym działać muszą trzy niezbędne czynniki: przedmiot wywołujący zadowolenie estetyczne, sama wrażliwość estetyczna i zmysł pośredniczący pomiędzy tą wrażliwością, a przedmiotem.*) Bliżej i dokładniej piękna określić niepodobna i wszelkie jego definicje, czyli określenia, nigdy na postawione pytanie odpowiedzi zadawałającej nie zawrą. Piękno bowiem, to rzecz niesłychanie warunkowa, w naturze swej i oddziaływaniu niezmiernie skomplikowana, a od wielu okoliczności zewnętrznych niezmiernie zależna, ztąd niepochwytana i do zdefiniowania niemożliwa. (Zupełnie jak dobro i jak prawda. Wszak i one zależą od wyobrażeń i pojęć ludzkich, które nigdy nie stoją na jednym miejscu, wciąż się kształcą, dojrzewają, postępują więc i zmieniają, zarówno w jednostkach jak w masach, a to tak bardzo, że co dziś jest uznaniem powszechnie za dobre i mądre, to później znaleźć może potępienie, lub budzić śmiech politowania. Toż samo i z pięknem. I ono wciąż, wraz z pojęciami ludzkimi, posuwa się naprzód, zmienia, wykształca i dąży ustawicznie do jakiegoś ideału, który także idzie coraz wyżej i wyżej, nie zatrzymując się ani na chwilę.)

† A co to jest ideał?

[W naturze umysłu ludzkiego leży pewna siła, która sprawia, że mu rzeczywistość nigdy nie wystarcza. Siła ta jest fundamentem wszelkiego postępu. Nigdy człowiek nie jest zadowolony z tego, co już posiada, zawsze pragnie czegoś więcej niż mu rzeczywistość daje, wyobraża sobie więcej, niż w niej istnieje.]

Widząc wielu ludzi skąpych, mogę w pamięci swej i wyobraźni zgrupować wszystkie pojedyncze rysy ich usposobienia i utworzyć ztąd w myśli postać obdarzoną wszystkimi temi rysami, a postać ta będzie *typem* skąpstwa. Tak samo myśl nasza utworzyć może, a raczej wykombinować, typ dobroci, łagodności, energii i t. p. W robocie tej wyobraźnia ludzka tworzy *typ* z rysów, poczerpniętych z rzeczywistości. Lecz na niej, żądny zawsze czegoś nowego i wyższego, umysł ludzki nie poprzestaje. (Może on wytworzyć w pojęciu swoim taką dobroć, łagodność, energią, w tak wielkiej ilości i rozmiarach, w jakich widzieć mu się nigdy nie zdarzyło, a widmo takie, istniejące jedynie w jego pojęciu, w *idei* (w myśli), będzie *ideałem*.)

Ideały różnych ludzi bywają różne, mniej i więcej wysokie i podniosłe, a to wedle nieskończonej różnorodności usposobień ludzkich, wykształcenia, doświadczenia i t. p. Dla mieszkańca chaty wiejskiej ideałem zamożności jest komora zawieszona pościelami słoniny, klepisko zawałone pod sam dach snopami niewymłóconego zboża, obora zasobna w kilka sztuk bydła, stajnia z parą dobrze wypasionych hektek. Dla człowieka zamożnego, który wiele widział i bogactwom różnym przyglądał się, ideał taki

o ileż będzie wyższy! Uczeń szkółki wiejskiej za *ideał* wiedzy uważałby wiadomość, co się dzieje za najbliższą rzeką i górą; umysł mędrca nie czuje się jeszcze dosyć zadowolonym, mogąc bujać w przestworzach najzawilszych zagadek wszechświata.

Ta naturalna ruchliwość ideałów w dziedzinie dobra i prawdy, powtarza się też w królestwie piękna. Ideały sztuki sięgają bardzo wysoko, w nie-dościgłą, nierzeczywistą sferę fantazji, która wymarzonemi przez człowieka postaciami zaludnia niebo i daje mu wszystkie uroki blasków piękna.

Wiemy już, jak się tworzyły pojęcia o pięknie i jak na tej drodze wytworzyła się sztuka. Wiemy, że piękno w naturze jest przypadkowem i nietrwałem, że w sztuce jest ono umyślnem i istniejącem tak długo, dopóki istnieje przedmiot estetyczny. Przedmiot taki jest dwojakiej natury: materyjalnej i idealnej. Idea, myśl — jest jego treścią; materyja, w której kształtach się ona wypowiada, stanowi jej formę. Bez materyi treść istnieć nie może, bez treści materyja w sztuce znaczenia nie ma. Wtedy przedmiot jakiś jest tworem sztuki, kiedy jego zewnętrzna, materyjalna forma jest wypowiedzeniem, ujawnieniem wewnętrznej treści, *piękna*.

[Sztuki są różne, mniej i więcej materyjalne, mniej i więcej idealne.] Ze względu na różnice i stopniowanie materyjalności lub idealności w sztukach, postarano się je uporządkować w pewien ład logiczny, uzasadniony przez ich właściwości. Uczyniono to najpierw z uwagi na zmysły, za pośrednictwem których budzą nasze uczucia. [Pośrednictwa wzroku potrzebują tak zwane sztuki *plastyczne*, w których piękno wypowiedzane jest kształtami materyi. Do tej grupy sztuk pięknych należą *architektura, rzeźba i malarstwo*. Inne sztuki, zwane *idealnymi*, przemawiają do umysłu naszego za pośrednictwem wzroku — a temi są *muzyka i poezja*.]

[Sztuki plastyczne podlegają też pewnemu stopniowaniu ze względu na swoją mniejszą lub większą materyjalność. Architektura myśl artystyczną zawiera jedynie w wymiarach i liniach bryły i jej materyał jest najcięższy, najbardziej cielesny, materyjalny. Rzeźba, posługująca się tak samo kamieniem, odtwarza twory organiczne, postacie ludzkie i zwierzęce, ruch i działanie, do pewnego stopnia przeto ożywia i uduchowia ten ciężki i martwy materyał. O wiele więcej nadaje życia i treści duchowej materyałowi swojemu malarstwo, które właściwie nie potrzebuje do osiągnięcia celów swoich materyi, ale tylko kształtów i barw, uwidocznionych nie w przestrzeni, jak w architekturze i rzeźbie, ale na płaszczyźnie.]

[Muzyka posługuje się dźwiękiem, dźwięk zaś nie jest sam w sobie materyą, ale wynikiem jej ruchu. W następstwie dźwięków, w ich ugrupowaniu, utwór tej sztuki wypowiada zawartą w nim myśl. Najidealniejszą ze wszystkich sztuk pięknych jest poezja, dla niej bowiem materyą jest słowo, które samo w sobie jest wypowiedzeniem myśli. Dźwięk pojedynczy nie ma treści, w wyrazie zawarta jest myśl, idea, pojęcie jakieś. Z natury tej materyału poezji wynika, że może ona budzić uczucia estetyczne bez pośrednictwa zmysłu, jedynie tylko przez przywołanie do umysłu idei przez się wypowiedzanych. Poezją można czytać głośno lub pocichu, a różnica taka na znaczenie i doniosłość jej treści nie wpływa. Muzyka musi być słyszana, jeżeli ma oddziaływać; poezja wymaga tylko wnikięcia do umysłu, niekoniecznie drogą zmysłową. I dlatego jest najidealniejszą ze sztuk wszystkich.]

[Sztuka może istnieć sama dla siebie, wyłącznie dla celów piękna, albo też być *stosowaną*, to jest

upiększać przedmioty, istniejące dla innych jakichś celów. Na wielką skalę sztuką stosowaną jest prawie zawsze *architektura*, popolsku *budownictwo*, bo bywa zewnętrznym przystrojem przedmiotów przeznaczonych do użytku, celu ubocznego, z pięknem nie wspólnego niemającym. Sztuki stosowane, a raczej *stosowanie sztuki* ma na celu przyozdabianie przedmiotów nieartystycznych z przeznaczenia i użytku. Ławka na przykład może być artystycznie ozdobiona, a przecież cel jej jest nie artystyczny, lecz wyłącznie pożytkowy. [Sztuki stosowane nazywają się w ogóle złaćsińska *ornamentacyjnymi* (czyli *ozdobniczymi*, bo służą ku ozdabianiu), a mogą nimi być tylko architektura, rzeźba i malarstwo.] Muzyka i poezja *stosować się* nie dają. Ich treść zostaje zawsze w niezachwianej odrębności od otoczenia, a ich materyał jest tak niepochwytany, że się z innym na żaden sposób zjednoczyć nie pozwala. Muzyka i poezja mogą się łączyć tylko ze sobą, ale zawsze jedynie i całkowicie w celach piękna. Najmniejsze pod tym względem zboczenie ich treści wewnętrznej odbiera im charakter artystyczny — przestają mieć właściwości sztuki. Mówi się tu o pojedynczych utworach. Tymczasem na piękno ornamentacji plastycznej, ściśle spojonej z przedmiotem ozdobionym artystycznie, wcale nie wpływa wewnętrzna treść tego przedmiotu — jego przeznaczenie użytkowe. Czy pięknie rzeźbiona deska służyć ma za oparcie u ławki, czy za część ściany, szafy lub sufitu — robocie artystycznej i jej pięknu różnicy to nie sprawia, ani szkody nie przynosi.

Sztuki plastyczne stosowano *ornamentacyjnie* od najdawniejszych czasów, czyniąc tem zadosyć wrodzonemu pożądanu i poczuciu piękna.

Zdaje się nawet, że sztukę wogóle wyprzedziło stosowanie ornamentacji artystycznej do przedmiotów użytkowych. We wszystkich społeczeństwach pierwotnych i dzikich ozdabianie takie istnieje, chociaż pośród nich utworów sztuki swobodnej, samodzielnej znaleźć niepodobna.

Pięć sztuk pięknych, któreśmy wymienili i rozklasyfikowali powyżej, to jest: *budownictwo, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezja*, nie stanowią jeszcze bynajmniej całkowitego obszaru środków wypowiedzania piękna. Niektórzy estetycy liczbę sztuk mnożą do kilkunastu, te pięć jednak stanowią niezawodnie grupę z natury artystycznie najpełniejszą i najczystsza. Taniec, oratorstwo (sztuka pięknego mówienia), ogrodnictwo ozdobne, modniarstwo, sztuka aktorska, są zapewne mniej lub więcej natury estetycznej, ale w części chylą się ku celom pożytku, lub też nie posiadają dosyć idealności, aby artystycznie podniosłemi stać się mogły. Zdaje się też, że wszystkie one o tyle tylko posiadają wartość i znaczenie piękna, o ile są pokrewne pięciu sztukom naczelnym. Taniec posiada na przykład zalety plastyczności malarstwa i rzeźby, oratorstwo przymioty treści idealnej i formy poetycznej, słownej, żadne z nich jednak nie posiada właściwości odrębnych piękna. A takim sposobem dosyć się przyjrzyć pięciu sztukom naczelnym, jako doskonałym, samodzielnym źródłom piękna, i naturze w jej objawach estetycznych, aby wyrobić sobie pojęcie o pięknie w całej jego rozciągłości, dotychczas przystępnej dla badań estetycznych.

St. M. Rzętkowski.

ZAWIERUCHA.

PRZEZ

Marc-Mounier'a.

Przekład z francuskiego

M. G.

(Dalszy ciąg.)

Istotnie tegoż wieczora, miss Zawierucha dostała kopertę zapieczętowaną królewskim herbem. Od tej chwili zaczęła mówić głośno, że jednak Garibaldi miał swoje winy i że Wiktor Emanuel jest najlepszym z królów. Zaczęła pisać memoryał, lecz nawalał myśli przeszkadzał jej napisać dziesięć wierszy zrzędu, pióro przepełnione atramentem robiło wciąż kleksy. Odkładając tę robotę na później, postanowiła zanieść zaraz Reginę do przytułku dla biednych. Ponieważ zrobiła dziewczynce wyprawkę (za pieniądze jakiegoś szwajcarskiego bankiera), musiała wziąć dorożkę dla przewiezienia pakunku, a że najęła ją na godziny, woźnica obrał jaknajdalszą drogę i wiedząc, że zwykle bywa tłok w małej uliczce wiodącej do stacji kolei, szczególnie w godzinach przybycia pociągów, uważał, że dobrze będzie tamtędy się skierować; był to kwadransik wygranego czasu, a może i pół godziny. Zsiadł z kozła, ustawił konia w cieniu i założywszy mu na szyję worek z obrokiem, skorzystał z przystanku, ażeby mu dać czas na zjedzenie śniadania. Miss Zawierucha kręciła się niecierpliwie i ja również (bo byłem z nią poto, ażeby zapłacić dorożkarza), bawiła mnie tylko Reginka, która, nie posiadając się z radości że siedzi w powozie, wstawała, poprawiała się, wchodziła na siedzenie, opierała na koźle, rozglądała z zachwytem po tem mnóstwie wózków, kabrioletów, wozów obładowanych ludźmi, pakunkami, skrzyniami, workami, beczkami, owocami i warzywem, które zatamowały przejazd w ulicy. Wędrujący handlarze krążyli wśród tłumu, przekupnie pomarańcz, ryb, morskich raków i ślimaków, dzienników, orzechów, wody świeżej, starej odzieży i żelastwa—wszyscy krzyczeli. Kapucyn częstował tabaką i numerami na loteryę, szewc przechadzał się ze spuszczoną głową i oczyma wlepionymi w ziemię, z koszem na plecach pełnym szewckich narzędzi, dratew i kawałków starej skóry.

Nagle spostrzegato, czego szukał: dziurawy trzewik na nodze pół eleganta (tak nazywają ten nieokreślony gatunek środkujący między pospółstwem, a zamożnem mieszczaństwem). Zatrzymuje natychmiast nieszczęśliwego i przemocą ściągają mu z nogi chory but, kładąc w to miejsce pantofel służący do publicznego użytku, potem, siadając na koszu, zabiera się do przyłożenia łątki, która wprawdzie jest bardzo widoczna i rażąca, lecz przyszywa ją tak prędko i opowiada przy tem rozzutej ofierze tyle zabawnych rzeczy, że wszystko kończy się zgodnie. Szewc zażądał trzydziestu centymów za robotę, pacjent dał mu sześć i rozstali się w najlepszej przyjaźni. Tłum tłoczył się coraz bardziej, wrzawa wzrastała, nadjeżdżające od kolei powozy zwiększały zamieszanie, a nad tem wszystkim górował pisk Poliszynela, dochodzący z przenośnego teatryku, który na boku uliczki dawał przedstawienia. Tylko wyniosła dzwonnica karmelitów,

ciemno-czerwona i poważna, zdawała się dumać nad przeszłością, jak zwykle starzy, może o nieszczęśliwym Konradynie, na którego zgon patrzyła, może o Mazaniellu, którego bunt widziała...

Reginka stała już na koźle, rozglądając się po czarującym widoku, i główka jej w pełnem słonecznem oświeceniu błyszczała, jak bronz klasyczny. Kilka dni wystarczyło do rozbudzenia tej bogatej natury; oczy pełne były blasku, gęste, czarne, świecące włosy podnosiły się na wietrze dolatującym od strony morza; usta, trochę zgrube, chciały piły świeżość powietrza, a białe zęby błyszczały z poza nich. Stojąc z podniesioną główką, ze skrzyżowanymi rękoma, ze spódniczką powiewającą jak chorągiew na wietrze, wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć ludziom, zwierzętom, nawet martwej dzwonnicy:

— Patrzcie na mnie!

W tej chwili nadszedł Taniel, niosący na plecach walizkę podróżnego przybyłego koleją, który podał za nim. Nagle chłopiec zatrzymał się i wolną ręką przysłonił oczy od słonecznego blasku. I rzuciwszy na ziemię walizkę, pomimo klątw właściciela, pobiegł ku naszemu powozowi. Taniel zobaczył Reginę... Zaczął natychmiast rozmawiać z miss Zawieruchą, obsypując ją pieśczętliwymi słowami i uprzejmościami, w których celują Neapolitańczycy. Wydobył z kieszeni odlew z lawy, przedstawiający jeden wizerunek Wiktora Emanuela, drugi Franciszka II, według życzenia, małe morskie żółtko z główką podobną do końskiej, jaszczurkę z terrakoty, tabakierkę etruską, poświęcany różaniec, jednym słowem wszystkie przedmioty, które zwykle kupują cudzoziemcy i oddawał je darmo, z miłości dla miss. Ale nie odwracał oczu od Regini.

W tejże chwili wystrzał armatni rozległ się od strony portu i tłum rzucił się w tamtą stronę, ażeby zobaczyć nadpływający statek. Można już było przejechać, woźnica siadł na koziół z którego Reginka zmuszoną była zejść; schodząc, spotkała spojrzenie Toniela. Od tej chwili pokochało się to dwoje dzieci, które razem nie miały lat trzydziestu.

Dorożka ruszyła galopem, bo sumienny woźnica chciał przekonać, że usiłuje odzyskać czas stracony nie przez jego winę. Taniel uczył się z tyłu powozu. Reginka, siedząca na przednim siedzeniu, patrzyła na niego. Przybyli do seraju (lud dał przez szyderstwo tę nazwę przytułkowi). Uważano za hańbę i nieszczęście, gdy kto został tam umieszczony; lepiej już było dostać się do więzienia za jakiś głośny czyn, przez zdradę (jak się zwykle mówiło) policji i sądu. Takie było przekonanie ogółu i można sobie wystawić przerażenie Toniela, kiedy zobaczył, że dorożka zatrzymała się przed drzwiami seraju. Otworzył drzwiczki i spuścił stopnie, do Regini, która wysiadała ostatnia powiedział tak głośno, żem go usłyszał:

— Albo cię ztąd wydobędę, albo mnie powiesz!

Wszedł za nami do przytułku, a że szedł razem, nikt go nie zatrzymał. Doszedł aż do oddziału dla kobiet, obejrzał starannie pracownię, gdzie miała pracować Reginka, sypialnię gdzie miała sypiać, podwórze po którym miała się przechadzać w godzinach wypoczynku, okno gdzie wolno jej będzie siadać w pewnych godzinach dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Zaprzyjaźnił się z jedną tercyarką, która, oprowadzając nas, mówiła jaknajgorzej o nowym rządzie i francuskich siostrach miłosierdzia. Tercyarki, których było pełno w przytułku, tak jak wszędzie, robiły co mogły dla zatrucia życia dyrektorem, podmawiały małe dziewczątka ażeby

odwracały się plecami do nauczycielek i wołały w sali rysunkowej, gdy wchodził nauczyciel:

— O Boże! spraw ażeby ten, co wchodzi, połamał nogi!

Taniel odrazu zdobył łaski starej tercyarki i przed odejściem szeptał z nią coś w sieni. W tydzień później, dzięki protekcji miss Zawieruchy, dostał się jako uczeń do warsztatu ślusarskiego, a w dwa tygodnie, za pośrednictwem tercyarki, polecono mu wykonanie niektórych robót w oddziale kobiecym w Przytułku. We trzy tygodnie potem Taniel i Reginka znikli z seraju, nie zabrawszy nic, oprócz narzędzi ślusarskich.

III.

Pallone miał już dwudziesty drugi rok i różniąc się zupełnie od Toniela, zyskał uznanie miss Zawieruchy, która przedstawiała go wszędzie jako dobrego chłopca, niepospolitą głowę, nadzieję młodych Włoch. W niecałe dwa miesiące nauczył się czytać i nie poprzestał na tem, jak inni. Poprosił Angielkę o książki i zaczął swoje studia od broszurek wymierzonych przeciw duchowieństwu, które miss Zawierucha rozrzucała wszędzie; wczytując się w nie, doszedł do przekonania, że niema ani Boga, ani dyabła, i że naturalnie każdy powinien postępować według własnego kaprysu, wystrzegając się tylko policji i karabinierów.

Następnie miss Zawierucha, obżajmiając go z ludzką godnością, zaczęła mu tłumaczyć, że wszyscy ludzie są równi i że lazzarone wart tyle, co i wielki pan. Pallone wyprowadził ztąd dalszy wniosek, że wielki pan okradł lazzarona. Zbrojny w to przeświadczenie, ilekroć skradł komu chustkę, uważał że tylko odebrał to, co mu się należało, że był w swoim prawie. Ogłosił się zaapostofa „ogólnej solidarności,” nabrał, jak widzimy, krasomówczych zwrotów i nauczył się posługiwać długimi wyrazami. Wypowiedział wojnę bogaczom, lecz obok tego nie przestał obdzierać biedaków, bo nowe teorie nie zmieniły bynajmniej dawnych jego obyczajów. Obchodził targi i wyludzał haracz od ogrodników, warzywników i handlarzy winogron, dorożkarze opłacali mu dziesięcinę, stronnicy Burbonów przysyłali od czasu do czasu rulon starych talarów, prócz tego rozciągał nadzór nad sprzedażą wody i ustanowił się rozjemcą w sporach wioślarzy w porcie. Jedni uważali go za agenta Burbonów, drudzy za członka tajnej rządowej policji; nie broił się od tych zarzutów, niesłusznych może lecz korzystnych, i robił tajemnicze miny, które ludzi przejmowały dreszczem, więc drobni przekupnie, drobni oszuści, drobni spiskowcy, obawiając się denuncyacji, dawali mu pieniądze. Wyzyskiwał on w ten sposób ogólne tchórzostwo. Kiedy szedł ulicą w czerwonej koszuli, w kurtce i spodniach z aksamitu czekoladowego koloru, lub przybywszy do portu, stanął z kijem pod pachą i zdjawszy kalabryjski kapelusz, ręką ozdobioną mnóstwem pierścieni podczesywał dogóry swój czub czarny i szpecinowaty, milczenie zalegało między szyprami i majtkami, najśmielsi zaledwie bokiem nań spoglądali, śpiewak uliczny, śpiewający ludowi strofy Tassa, zawieszał opowieść o walce Tankreda z Kloryndą, a Poliszynel nie śmiał zmiażdżyć zbira, jak było w programie przedstawienia. Pallone występował potem z tłumu i, wyciągając kapelusz, kwestował na korzyść wędrownego teatryku i ludowego śpiewaka, miedziaki sypały się na dno kapelusza; Pallone da-

wał garść pieniędzy Poliszynelowi, drugą garść śpiewakowi, resztę zatrzymywał dla siebie i wkładając na głowę kapelusz, odchodził zwolna, z kijem pod pachą, z miną zwycięzcy.

Pewnego rana spotkał tam miss Zawieruchę, która rzuciła mu z impetem zapytanie:

— Czy wiesz gdzie jest Tonieli?

— Ja wiem wszystko.

— Jeżeli tak, mów prędko, bo potrzebuję wiedzieć.

— Co pani zamierza uczynić?

— Chcę wyrwać z jego rąk biedną dziewczynę, którą wykradł; Tonieli się łotruje, oszukał mnie haniebnie! Powinna być spodziewać się tego po chłopcu, który nie umie czytać. Nie jest on podobny do ciebie, który wyzwoliłeś się z nędzy i ciemnoty; Tonieli sprawia mi tyle zmartwienia, ile ty radości!

— Pani mówi, że Tonieli wykradł dziewczynę?

— Więc ty nie wiedziałeś?

— Owszem. Ja wszystko wiem. Ta dziewczyna nazywa się... Zaraz.. zaraz...

— Reginka!

— Otóż to, Reginka! To samo imię mam wpisane w swoich notatkach. Zawiózł ją... wiem dokąd. Ale chociażby nawet pojechał na drucie telegraficznym na koniec świata, schwytałbym go zawsze. Puszczę za nim moich ludzi...

— Czy jesteś tylko pewny?

— Pani wątpi o mnie? Niech pani zaczeka! Jestem Pallone!

Gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę, wskoczył w nią i wspaniałym ruchem ręki zatoczył koło; dorożkarz zawrócił na miejscu i ruszył galopem. Miss Zawierucha rozplywała się z rozkoszy, przypatrując swojemu wychowawcy z dumą autora, patrzącego na własne dzieło.

— Otóż to — pomyślała. — Co to znaczy umiejętność czytania!

Tymczasem Tonieli razem z Reginką uciekł do Salerno, gdzie miał nadzieję znaleźć matkę i gdzie pewien był, że odszuka panią Placydę, swoją rodzoną ciotkę, bezdzietną. Lecz Maryanna od czasu nieszczęścia, które spotkało jej męża, porzuciła Salerno i podobno zamieszkała gdzieś w państwie Kościelnem. Pani Placyda handlowała solą i tytuniem, prócz tego sprzedawała papier, niciarskie drobniaki i struny do instrumentów muzycznych. Ponieważ miała dobre serce, przyjęła chętnie Reginkę, zresztą poszukiwała właśnie służącej, któraby jej pomagała w sklepie i w domu. Kochankowie przebyli drogę z Neapolu do Salerno, nie dotknawszy nawet swoich dłoni. Chociaż uroczyście zaręczeni, nie mogli się żenić, nie mając ani grosza; przedewszystkiem należało pomyśleć o usłaniu gniazda. Tymczasem musieli żyć w rozłące, bardziej od siebie oddaleni, niż gdyby byli bratem i siostrą; wymagał tego świat i Madonna. Tonieli zmuszony był szukać dla siebie schronienia i znalazł je w barce, leżącej dogóry dnem nad brzegiem morza i oczekującej naprawy. Zamieszkał pod jej osłoną, trzeba jednak było jeść, a pani Placyda nie ofiarowała siostrzeńcowi ani kawałka chleba; miała ona dobre serce, lecz darmo nie dawała nic. Tym tylko sposobem mogła dojść do posiadania sklepiku.

Tonieli zarabiał, śpiewając pod oknami. Żona prefekta której się podobała jego powierzchowność, kazała woźnemu sprowadzić go do prefektury podczas wieczornego przyjęcia i uraczyła swoich gości neapolitańskimi śpiewkami, poczem urządziła kwestę, która przyniosła trzysta franków pięćdziesiąt centymów miedzią. Za trzecią część tej sumy kupił Tonieli u handlarza starą harfę bez strun, za-

niósł ją do pani Placydy z resztą pieniędzy i zatrzymał dla siebie tylko kilka centymów, za które kupił funt poziomki i kawałek chleba. Potem napił się wody z wodotrysku i poszedł spać do barki, gdzie miał sen prześliczny; śniło mu się, że wchodził po schodach do kościoła, prowadząc za rękę Reginkę strojną w purpurę, w złotej koronie na głowie.

Nazajutrz zrobił znajomość z jakimś śpiewakiem, który chodził z harfą, umiał dużo melodij lecz mało słów do nich, a głos miał jak grzechotka, głos który znosić mogli tylko cudzoziemcy.

— Zawijemy spółkę. Czy dobrze? — zapytał Tonieli.

Połączyli się. Wczesnym rankiem szli nad brzeg morza i zasiadali w cieniu skały, tworzącej w tem miejscu arkadę, przed oczyma mieli łagodne zielonawe fale. Pracowali razem. Nowy towarzysz uczył Toniela gry na harfie, a Tonieli uczył go piosenek i obrabiał mu głos; fale regularnym szumem wybijały takt przy tych ćwiczeniach, które trwały do południa. Wtedy obaj muzycy kąpali się i jedli obiad, Tonieli jadł poziomki lub wiśnie, towarzysz jego, pochodzący z górskich stron, ser i chleb. Po obiedzie przesypiali się po drugiej stronie skały, którą słońce okrążyło, a potem wracali do miasta i dawali koncert przed oknami prefekta, syndyka, generała, prezesa trybunału, przed najświetniejszą kawiarnią, przed fabryką należącą do bogatego Szwajcara, dla którego specjalnie nauczyli się szwajcarskich pieśni i ustępów z Wilhelma Tella. Po dwóch tygodniach Tonieli umiał już tyle, że mógł sam towarzyszyć sobie na harfie, a pieniędzy zebrał dość na kupienie reszty brakujących strun. Pani Placyda nie oszukała go, lecz i nie straciła też na nim. W końcu towarzysz popłynął do Ameryki, a Tonieli sam zarabiał coraz więcej; piosneczki jego były niewyczerpane, bo codzień układał nowe, pomysły muzyczne przychodziły mu, choć nie znał ani jednej gamy, a wiersze układał z łatwością, choć afekt był mu obcy. Natchnienie spływało nań z Reginki. Okno jej pokoiku wychodziło na ogród. Pani Placyda chodziła spać późno, bo wieczory przepędzała na rachunkach i spinaniu szpilek papierowych pieniędzy, więc i wstawiała dobrze po wschodzie słońca. Niepodobna było dostać się do ogrodu; pani Placyda lękała się złodziei i codzień przed północą zamykała wszystkie drzwi, furtki i okienice.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIKA

Doprawdy, że chyba nie będziemy mieli lata w tym roku! Jużby przecież był czas na ciepłą i pogodę, jeżeli nie dla ludzi, którzy tęsknią do nich dla przyjemności, to dla tego biednego żyta, które już kwitnie i któremu burze i wiatry strącają nadzieję przyszłego owocu.

— Jeżeli się to nie skończy jaknajprędzej, będzie źle!

— Będzie bieda...

— Głód, panie dobrodzieju, głód i nędza!

— Wiosna przepadła...

— Deszcze wymoczyły zasiewy, dziesiąta część zaledwie ocalała!

— Zaorałem dwie włóki żyta, które, panie dobrodzieju, jest u mnie podstawą, treścią, gospodarką.

— Ale zato owoców będzie multum — wtrącam nieśmiało, zadowolony że wiem coś o tem, co się dzieje na wsi.

— Ba! będziemy jadał konfitury zamiast chleba! — odpowiada mi „panie dobrodzieju.”

Co prawda, uwaga trafna. Więc zaczynam z innej beczki i zapytuję o jarmark wełniany.

— Niech go, panie dobrodzieju, kule biją! Nazwoziliśmy wańtuchów co niemiara, a tymczasem drugie tyle zostało z przeszłego roku. Kupców niema, o wełnę nie pyta się i pies z kulawą nogą, a Mosiek z Pustegowora przywlokł się do Warszawy swoją biedką, z całą paką obligów, rewersów, kwitków i czyha, szelma, na każdy grosz, a patrzy wciąż na ręce. Śliczne położenie, jak Pana Boga kocham!

— Jeżeli jednak w Prusach zniosą cło od zboża...

— To nam w spichrzach zapasów przybędzie, co?... A tymczasem kupować trzeba ziarno na przednówku na wagę złota, bo czeladź o ordynaryę woła, a w stodołach pustki, jak wymiót! Jak tak dalej pójdzie...

Odszedłem, nie ciekawy, co będzie dalej, a gdzieindziej powitano mnie nowiną.

— Słyszałeś pan o wykojonym pociągu w Belgii? Most się zawalił, pociąg runął w wezbraną rzekę i setki pasażerów potraciło życie.

— Tylko podobno jedna setka.

— Bagatela! A wiesz pan, że we Włoszech złapano jakiegoś ptaszka na podpalaniu prochowni?

— Że w Afryce dzicy zjedli wyprawę naukową?

— Że całe pobraże morza Śródziemnego miewa ataki gwałtownej febry?

— A Wezuwiusz burzy się, jak gdyby miał ochotę poraz drugi zasypać popiołem odgrzebaną Pompeję?

— Że w Turcyi zrabowano podróżnych, rozbito pociąg, pochwycono brańców i kazano sobie za życie ich płacić setkami tysięcy?

— Ba! alboż w Hiszpanii nie dzieje się to samo?

Uciekłem, mając dosyć tych przepysznych nowin, z których każda w danej chwili wystarcza do poruszenia całej energii dziennikarskiej.

Miły Boże, jaka ludzkość jest piękna, jaka szlachetna, jaka ucywilizowana i ile ma powodów do dumy i szczęścia! Wtórą jej godnie mama-natura, pocziwa starowina, która nie chce okazać się lepszą od swoich dziełek. Czy to słychane rzeczy, żeby w Czerwcu szczękano zębami, owijano się flanelą i palono w piecu, żeby z powodu zimna trzeba było odkładać tombole na „Przytulisko,” „Festival” i rozmaite figle wioślarzy i cyklistów? A jednak tak jest i pani przyroda wcale się nie wstydzi, wyprawiając podobne komedye.

Ale... czyście też państwo widzieli wielce, bardzo wielce okrzyczaną „Rycerskość wieśniaczą” Vergi? Tych, którzy szczęścia owegonie doznali, objaśniam że Verga, z imienia Jan, jest nowelistą włoskim, któremu zapachniała sława autora dramatycznego. Przerobił tedy jedną z nowel swoich na dramat jednoaktowy, a teatr warszawski skwapliwie tę przeróbkę pochwylił i... podał ją do wiadomości publicznej.

Zaraz znać, że co było przeznaczone do opowieści, to się nie nadało do grania na scenie. Rzecz wygląda blado, niekompletnie, jak urywek jakiś, częstka obszerniejszej całości, przypadkiem w kalejdoskopie scenicznym zaplątana. Mąż, mulnik sycy-

lijski, wyzywa na bój śmiertelny kochanka żony i—zabija go! Oto wszystko. Zabija go zaś za sceną, aby zbytnio nie przerażać widzów, którzy tym sposobem nie wiedzą na pewno, czy biedny Donżuan wiejski, Turrudu, istotnie umiera. Każdy zresztą ze słuchaczy ufa, że się o tem dowie w drugim akcie, którego napróżno oczekuje. Dramat bowiem jednoaktowy drugiego aktu mieć nie może, a jeżeli wygląda na prolog raczej, niż na całość skończoną w sobie, tem gorzej dla autora i dla tych, co jego rzekome dzieło *par force* reklamowali.

Obok tej „Rycerskości” ujrzelismy także „komedya” spółki autorów francuzkich, komedya trzyaktowa, modnym trybem dzisiejszym apoteozującą smakowanie w owocach zakazanych. Któraś z postaci głośno i dobitnie wypowiada tam takie zdanie: „małżeństwo nie jest instytucją społeczną, — jest nią rozwód!” Cała sztuka usiłuje wykazać, że romans skandaliczny daje większe szczęście, niż miłość prawym związkiem uświęcona — i że można kochać tę, która jeszcze nie jest naszą żoną, lub tę, która nią była przedtem, ale kochać taką, co nią jest teraz... *fi donce!* głupstwo anti-społeczne!

Ponieważ te wszystkie *małde* rzeczy wypowiadane lub dowodzone są w najrzetelniejszej farsie, w której wolno jest karykaturować to, co winno być rozumne i szlachetne, przeto nie godzi się posądzać autorów o złą wolę, bynajmniej! Bawią się oni tylko, igrając z ogniem, wypłaszając z serc ludzkich poważne uczucia, a z głów poważne myśli, ale biorąc za to suty haracz zabawy bliźnich, opłacających hojnie chwilową wesołość. Że ta igraszka w rezultatach może być szkodliwa... niechaj się tem dręczą przyszłe pokolenia, wyhodowane na koncepcie, pomiatającym wszystkim, co *ludzkie*. Za nic się dzisiaj tak dobrze nie płaci, jak za farsy, operetki, *possy*, wszelakiego rodzaju błazeństwa i hece! I byle tylko płacano...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Zjazd koleżeński.** W dniu 27 bm. odbyć się ma w Warszawie, za pozwoleniem władzy, zjazd kolegów, którzy w r. 1881 ukończyli gimnazjum V, na Nowolipkach. Bliższych wiadomości co do tego zjazdu zasięgnąć można u pp. T. Kocialkiewicza (ul. Złota nr. 31) i J. Skłodowskiego (ul. Wilcza, nr. 12).

Zjazdy koleżeńskie, wchodzące coraz bardziej w zwyczaj ostatnimi czasy, należą do najsympatyczniejszych objawów naszego życia społecznego. Takie wznawianie i umacnianie węzłów przyjaźni, zawiązanych na ławie szkolnej, opłaca się moralną a nawet materialną korzyścią. Moralną, krzepiąc w sercach kolegów szlachetne uczucia wzajemnej życzliwości; materialną, następującą sposobność do wzajemnego koleżeńkiego dopomożenia sobie w twardej nieraz walce życiowej. Dotychczasowa praktyka dostarczyła już niejednego przykładu obu dwóch tych korzyści.

* **Ostrożnie z ołówkami kolorowymi!** W Berlinie temi dniami pewien młody człowiek dostał zakazania krwi wskutek tego, że mając małą ranę na wardze, zwilżał ustami ołówek czerwony, którym coś pisał czy rysował. Kto wie czy nieostrożny, a raczej nieświadomy niebezpieczeństwa, wybiega się od śmierci.

Ołówki zielone także są niebezpieczne, jako zabarwione po większej części grynszpanem. Najbezpieczniejsze są jeszcze niebieskie; chociaż najlepiej jest nie ślinić zupełnie ołówków kolorowych,

jeśli ktoś już bez ich używania obejść się nie może.

* **Morskie oko, najpiękniejsze, najwspanialsze** z górskich jezior tatrzańskich, stało się przedmiotem pożądlivosti Węgrów, którzy od pewnego czasu, ni ztąd ni zowąd, poczęli sobie do niego rościć pretensye. Spór ten oparł się już był raz o sąd państwowy w Nowym targu, który rozstrzygnął sprawę na korzyść hrabiego Zamoyskiego, właściciela Zakopanego. I to jednak nie położyło końca zachciankom węgierskim i obecnie rzecz cała rozstrzygać się będzie w Radzie państwa austriackiej, gdzie poseł dr. A. Sokołowski, imieniem swoim i swoich kolegów, zażądał wyznaczenia komisji austriacko-węgierskiej do uregulowania linii granicznej między Galicyą a Węgrami.

* **Rzecz nietykalna!** Chyba nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby członek domu panującego, następcę tronu, który lada chwila może objąć berło po sędziwej już matce, stawał publicznie przed kratkami sądowymi, wprawdzie jako świadek, ale w skandalicznym procesie o oszustwo szulerskie. Zdaje się to do prawdy niepodobnem, a jednak takie widowisko dał z siebie w tych dniach książę Walii, dobrze pełnoletni, najstarszy syn królowej angielskiej i cesarzowej indyjskiej Wiktorii.

Szczegółów tego wstrętnego procesu opowiadać nie będziemy, nie o nie nam chodziło, ale o zaznaczenie, że książę Walii grywa w hazard i to z ludźmi, których można choćby posądzać o oszustwo w grze. Dodać trzeba, że książę zeznawał na niekorzyść człowieka, którego jeszcze wczoraj nazywał swoim przyjacielem, a któremu zdaje się dziś zarzucać podłość, faktycznie nieudowodnioną. *Fin de siècle!* niema co mówić...

* **Sp. Aleksandra z Millerów Moniuszkowa**, wdowa po nieśmiertelnym twórcy „Halki,” zmarła w Warszawie d. 10 b. m., w skutku uderzenia krwi na mózg, którego już poprzednio kilkakrotnie doznawała.

* **Józef Kenig**, naprzód współpracownik „Gazety warszawskiej” za redakcyi Antoniego Lesznowskiego, następnie długoletni redaktor tejże „Gazety” a dziś znów współpracownik „Słowa,” niebawem obchodzić będzie 50-oletni jubileusz swej służby dziennikarskiej.

* **Tramwaje i publiczność.** Jeżeli w jakim razie, to z pewnością odnośnie do tramwajów pytanie: „Czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa?” stanowczo jest rozwiązane: one dla publiczności, a nie publiczność dla nich. Przyznać trzeba, iż rolę tę Zarząd tramwajów coraz lepiej rozumieć poczyną, a jednym z dowodów postępu na tej drodze jest rozporządzenie, nakazujące woźnicom i konduktorom zatrzymywać w każdej chwili tramwaj na skinienie chcącej wsiąść osoby.

Ale niestety, publiczność nasza, o ile nie umie się upomnieć o prawa sobie przynależne, o tyle rada ich nadużywa, gdy jej przyznane zostaną. Ten sam osobnik, który najpotulniej, brnąc nieraz po kostki w błocie, będzie obchodził wóz lub powóz, stający wpoprzek chodnika, i kwadrans, półgodziny a czasem i dłużej czekający na otwarcie bramy w kamienicy, ponieważ wie, że tramwaj na jego skinienie zatrzymać się musi, zatrzymuje go nieraz o kilka kroków od przystanku, następnie zmienia do niego z największą flegmą, jak człowiek któremu się nigdzie nie śpieszy, rozgląda się bacznie, które miejsce będzie dlań najdogodniejsze, i dopiero po dojrzałej rozwadze raczy nogę na stopniu postawić.

Takie zachowanie się jest oburzającym lekceważeniem praw i interesów ogółu jadących; większa część bowiem ludzi siada do tramwaju dla pośpiechu, a piękny mi pośpiech, gdy tramwaj, kilka razy w podobny sposób zatrzymywany, potrzebuje nieraz kilku minut na przebycie drogi od jednego przystanku do drugiego, którą pieszo, średnim krokiem, w minucie przebyć można.

Ci panowie i panie są rodzonymi braćmi i siostrami tych, co rozmawiając z sobą na ulicy, stają na środku wąskiego chodnika, i łaskawie pozwalają przechodniom obchodzić się dokoła, czekając aż zdarzy się ktoś mniej uprzejmy, ale zupełną słuszność za sobą mający, który ich czasem w sposób mniej grzeczny do porządku przywoła.

Chcąc żeby nam inni świadczyli to, co nam się od nich należy, poczuwajmy się przedwzyskiem sami do świadczenia innym tego, co się im należy od nas.

* **Przytułek dla starych sług i wyrobników** przy kościele Najświętszej Maryi Panny, według wiadomości zamieszczonej w dziennikach, ma w budżecie kasy miejskiej dobroczynności publicznej wyznaczoną dla siebie na rok bieżący sumę 21,715 rs., za którą ma utrzymać 54 pensyonarzy. Czy nie zachodzi tu jaka omyłka w cyfrach? gdyż 400 rs. zgórą na niewykwintne utrzymanie jednej osoby, mianowicie w tak znacznej gromadzie, to jakoś wydaje się troszkę za dużo...

* **Szpital Dzieciątka Jezus** ma być niebawem rozszerzony kilkoma nowymi oddziałami; w skutku tego otworzy się w nim prawdopodobnie kilka posad lekarskich i innych.

* **(g) Cicha, ale pożyteczna instytucja.** W dniu 17 z. m. odbyło się ogólne zebranie członków arcybractwa Przenajświętszego Sakramentu, istniejącego przy kościele Św. Kazimierza na Nowem Mieście.

Przy arcybractwie tem istnieje instytucja, zajmująca się wychowaniem osieroconych panienek i wspieraniem biednych wstydzących się żebrac. Od daty jej wznowienia, to jest od roku 1843, do końca roku sprawozdawczego, czyli przez lat 48, wydatkowała ona na wspomniane cele rs. 70,289, za które przeprowadziła wykształcenie blisko 30 panienek w wyższych zakładach naukowych żeńskich, a także ulżyła ciężkiej doli wielu osób podupadłych, wstydzących się wyciągać ręce po jałmużnę.

* **(g) Przemysł wieśniaczek żmujdzkich.** W przemysle domowym wiejskim jedno z wybitniejszych miejsc zajmują wieśniaczki żmujdzkie. Zajmują się one nadewszystko tkactwem, a niezbędnym przedmiotem w każdej chacie żmujdzkiej—warsztat tkacki.

Żmujdzinki okazują do robót takich niepospolite zdolności i zamiłowanie; wogóle na bieliznę i na wszelką odzież lud żmujdzki używa wyłącznie tylko materiałów własnego wyrobu.

Wszelkie ich tkaniny na suknie kobiece, fartuchy i na letnie ubrania męskie, zwane samodziałami, wyróżniają się odrębnym zupełnie, oryginalnym gustem. Wyrabiane są zawsze w szerokie lub wąskie pasy albo kraty, na które oprócz dominującego koloru czerwonego, składa się mieszanina wszystkich najjaskrawszych barw.

Płótno szare i białe, ręczniki, nakrycia stołowe pochodzące z domowych warsztatów żmujdzinek bywają bardzo piękne i starannie wykończane.

Oprócz tego wyrabiają one grube szare sukno na surduty męskie, dla swego własnego użytku, materiały zaś cieńsze, w guście korcików letnich i drelichów, pstre albo w drobne kratki, starannie i w lepszym już guście, bez jaskrawych kolorów wyrabiane, sprzedają na jarmarkach w okolicznych miasteczkach.

Odznaczają się te wyroby trwałością i względnie niskimi cenami.

Koroną wszakże wyrobów tkackich, wychodzących z domowych warsztatów Żmujdzinek, są używane tam przez kobiety do wierzchniego okrycia duże chusteczki w równobarwne kraty, lub gładkie, w kolorze czerwonym albo białym, z długimi, odpowiedniej barwy frendlami. Chustki te wykończone są nader gładko, ściśle, a delikatnie i tak są piękne, że prawdziwie żałować trzeba, iż na naszych wystawach przemysłowych dotychczas ich nie produkowano.

* **Nowy kościół**, nazywany dotąd kościołem przy ulicy Dzielnej, w skutek rozszerzenia pierwotnego planu oraz placu pierwiastkowo pod budowę przeznaczonego, będzie właściwie kościołem przy ulicy Nowolipki. Jakkolwiek bowiem terytorium kościelne sięgać będzie obu ulic, jednak front świątyni zwrócony będzie ku Nowolipkom, podczas gdy od Dzielnej środkiem rozciągać się będzie ogród, obok którego z jednej strony mieścić się ma plebania a z drugiej kaplica pogrzebowa.

G Cz.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Pierwszy zakład w kraju, który idąc za postępem, wprowadził u siebie odpowiednie ulepszenia, dające mu możność

„ORION”
FOTOGRAF
27. Nowy-Swiat 27.
powiększania małych fotografii do naturalnej wielkości, w przeciągu tygodnia, po rubli 10.

Po 10 rs.

WINIARNIA
poleca
Wino uznanej dobroci po cenach niżej handlowych,
Wino mrożone na lampki
SENATORSKA Nr 11 (dom d. ROESLERA).
Piwnice otwarte do północy. 79-1-8

PIWNICE ORIENTALNE
GOSIENNE

HOTEL BRÜHLA
Niecała numer 11, vis a vis bramy Ogrodu Saskiego.

K. Sapiecha.
Firma egzystuje od roku 1875.
Na bieżący sezon przysposobiłem wielki wybór Obić, imitujących: Materyę jedwabną, Gobeliny, Adamaszkę, Kretony, Dywany Perskie i t. p., które na żądanie podług pokryć meblowych wykonywają się. Próby obić z cennikiem wysyłają się bezpłatnie.

0 15 procent TANIEJ — CEN PRAKTYKOWANYCH.
Wielki wybór obić, po- cząwszy od 10 k. za ruljon.

78-1-6

MAGAZYN WYROBÓW ZŁOTYCH, SREBRNYCH, PLATEROWANYCH I BRONZOWYCH
J. K. CŁAZIEWICZ
WARSZAWA. UL. SENATORSKA Nr. 10.

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)
Ch. GEBER,
(Grochów, Telefon Nr 164.) 3912-16

Farbuje i czyści wszelką garderobę męską i damską. Farbuje na sposób francuski całkowite sztuki nowych materyj przedzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materiałach, na sukniach pranych i farbowanych.
Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Swiat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

Bracka 20. Po rs. 50!!! Piękne Serwisy Stołowe.
Na 12 osób z najlepszej porcelany Krajowej, zdobne w piękne kwiaty ręcznie malowane, na żądanie z monogramami lub z herbami, składające się z następujących przedmiotów: 36 talerzy płaskich, 12 głębokich, 12 deserowych, 12 kompotowych, 12 par filiżanek do herbaty, 12 par do kawy czarnej, 1 waza, 4 półmiski owalne, 12 okrągłe, 1 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 1 kabelet do konfitur lub kosz do owoców, 2 muszlarniczki, 2 solniczki, 1 maselniczka lub imbryk. Razem 116 sztuk. Serwisy stołowe w dobrym gatunku, w przesłone desenie lub w kwiaty malowane, składające się ze 114 sztuk po rs. 32; za dopłatą rs. 10 do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. Serwisy do śniadania z 30 sztuk złożone, w kwiaty malowane po rs. 15. Serwisy do kawy lub herbaty na 12 osób z 16 sztuk po rs. 6. Garnitury na umywalnie kolorowane od rs. 3 kop. 60. Wazony do kwiatów doniczkowych (Cachepôt), b. ładne po rs. 3 za parę. Wazony do bukietów w wielkim wyborze, para od kop. 50. Garnitury na tualetę. Serwisy do likieru. Kosze do ciast, oraz wszelką porcelanę malowaną, po cenach najniższych sprzedaje
Główny Skład i Malarnia Porcelany
RYSZARDA FIJAŁKOWSKIEGO,
w Warszawie, ul. Bracka Nr 20, drugi dom za Chmielną, w lokalu prywatnym.
Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Юня 1891 г.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga Plato v. Reussnera:
Najlepsza Metoda
do nauczania się Bez nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ach miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. Najlepszy elementarz polsko-niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop. 85, 30, i 10. Najnowszy elementarz polski z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 20, 15, 10 i kop. 4. Powiastki polsko-niemieckie 20 kop. Powieść Ali-Baba i 40 zbrojów 15 kop. Powieść Myśliwi Giezm 10 kop. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.
Skład główny u autora, (Pl. v. Reussnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie).

NAGRODZONA MEDALEM
Fabryka Gorsetów
J. Kropiwnickiej
Nowy-Swiat Nr 37 m. 10, w Warszawie.
Poleca wielki wybór gorsetów gotowych, fasonów paryskich, oraz higieniczne po cenach przystępnych. Wykonuje obstalunki oraz pranie i reperacje.

PRALNIA CHEMICZNA 2-6
sztuczna Cerownia i Farbiarnia
i zakład chemicznego czyszczenia wszelkiej garderoby damskiej i męskiej,
W. Głogowski
10 NIECAŁA 10.

WANDA SIWINSKA
Krakowskie-Przedmieście 61
wprost Resursy Obywatelskiej.
3 wielkie Medale srebrne na wystawach.
FABRYKA KWIATÓW
poleca Kapelusze damskie podług modeli paryskich od najtańszych do najwykwintniejszych. 50-5-7

Kapelusze żałobne odr. 2 k. 50
Wolki krepowe " 1 " 50
Suknie żałobne " 13
Suknie pośmiertne " 4
Kapy atłasowe " 4
Czepki i pantofle " 1
Trumny metalowe " 28
drewniane " 10
Wieniec metalowe " 3
Kompletne pogrzeby " 25
W WARSZAWIE
Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
Z. Fijałkowskiego,
Krakowskie-Przedmieście № 1 (obok koś. św. Krzyża).
Magazyn na ulicy Senatorskiej zupełnie zwiniałem.

PRACOWNIA I MAGAZYN
OBUIA DAMSKIEGO
M. WRÓŃSKI,
ulica Chodna Nr 28.
Ceny niskie. Robota trwała.

Pralnia NATALII
28. Nowy-Swiat 28. 77 1-12
Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystego-społeczczym nie niszczącym białizny.

EAU VÉGÉTALE
do farbowania włosów, pod względem swych zalet nie mającą równie sobie.
Bez zawodu nadaje się wiewięcej włosom PIERWOTNY KOLOR, skutek już po pierwszym użyciu. Nie brudzi skóry i nie plami białizny POBUDZA POROST WŁOSÓW i niszczy łupież. Pudełka białe niebieskie z podpisem wynalazcy i takie tylko są prawdziwe. Cena pudełka na miejscu rs. 2 kop. 50. Z przesyłką w Królestwie rs. 3, w Cesarstwie rs. 3 kop. 50
Skład główny w zakładzie fryzjerskim
T. MARKOWSKI. Bielańska Nr 2,
w Warszawie, 53-4-6
u fryzjerów w m. Wilnie u Gordona, Lublinie u Rozdoby i Grafczyńskiego, w Piotrkowie, u Różyckiego, w Łodzi u Smosarskiego.

FABRYKA BIELIZNY
WOJNA WOJNA
POLECA GOTOWĄ BIELIZNĘ
MĘSKĄ DAMSKĄ
DZIECIANNĄ
I POŚCIELNĄ
W WIELKIM WYBORZE
OBSTALUNKI
WYKONYWANE SĄ
PRĘDKO
I TANIO
WPROST HOT. POL. DŁUGA 42.
WPROST HOT. POL. DŁUGA 42.
Filja Nowy-Swiat 69.

LODOWNIA 51-6-6
E. JASZEWSKIEGO
Marszałkowska 52, róg Pięknej.
dostarcza lód do lodowni pokojowych, na warunkach lat poprzednich, t. j. począwszy od pół puda dziennie. Dostawa punktualna. Ceny przystępne. Rachunki regulują się zdołu 1-go każdego miesiąca. Lód zdalny do użytku wewnętrznego.

Fabryka tkanin metalowych i wyrobów druczanych
E. Chrzanowskiego
w Warszawie, ulica Bielańska Nr 16.
Rs. 3. Rs. 10. Rs. 12. Rs. 15.
Z powodu ulepszonych maszyn i powiększenia ich liczby do 14, fabryka obniżyła ceny tkanin druczanych od 45 kop. łok. kwadrato- wy. Kilka tysięcy łokci siatki ochraniającej od owadów, much, komarów w różnych kolorach przygotowałem po 40 kop. łokieć. Przybory pszczelnicze i maski najpraktyczniejsze, dla letników od kop. 60; polecam również Manekiny figury paryskie (papier muche) i druczane do upinania sukien od rs. 2. Pudła do zanoszenia sukien na sposób paryzki od rs. 6, opakowanie i wysyłka rs. 1. 61-2-4

Magazyn Ubiorów Dziecinnych
A. ALIMANT,
w Warszawie, Niecała Nr 12.
Poleca na sezon bieżący, wybór ubranek dziecinnych, oraz wyrobów dzetowych, po cenach najniższych. Wszelkie zamówienia wykonywa szybko i dokładnie, podług ostatnich żurnali. 74-2-6

W Wilnie
MAGAZYN MÓD
MARYI Ł.
dawniej **J. Bogdańskiej,**
ulica Ostrobramska.
Poleca damskie kapelusze na sezon następujący CENY TANIE, oraz damską dziecinną białiznę po cenach fabrycznych. 62-3-6